

195

NAJPIERW pani Dzidzia patrzyła na mnie z przerażeniem. Stół, biurko, krzesła, a także część podłogi zawalone papierami. Pani Dzidzia zmagala się z programami, biletami, zaproszeniami. Pani Dzidzia miała w oczach lęk: Czy odepłam temu wszystkiemu, co mnie czeka? Tylu gości, taki rozmach, a ja sama w sekretariacie. Przerażenie pani Dzidzi trwało krótko, zaraz skupiła się, wysłała ku mnie promienny uśmiech połączony z gestem ręki zapraszającym do spacerunku. Oto znalazłem się w biurze VI Jeleniogórskich Spotkań Teatralnych, w gmachu teatru, w centrum informacji i wszelkich usług kulturalnych. Pani Dzidzia obdarowała mnie ciemnoniebieską teczką, 12 informatami, sporą kolekcją zdjęć artystów scen polskich, dwiema widokówkami, jednym długopisem i wcale ładnym notatnikiem. I życząc powodzenia odesłała do hotelu „Europejskiego”, gdzie przez blisko tydzień dzielnie walczyłem z jakimiś pajęczakami, karaluchami i pokracznymi stworzeniami, które upórcoźnie asystowały mi w dzień i w nocy. Przyznaję: na polu walki zostało kilkanaście ofiar, za co hotel „Europejski”, mam nadzieję, nie ukarze mnie żadną grzywną.

Zanim zabrałem się do czytania zadanej mi lektury, udałem się na długi spacer po mieście. Pogoda wyśmienita. Główna ulica Jeleniej Góry zalana słońcem, po brzegi wypełniona ludźmi. Nigdy tam nie widziałem takiego ruchu. Gdyby ktoś nie wiedział, że powiat przemienił się w województwo, domyśliłby się tego.



Scena z „Beniowskiego”.

Fot. Grażyna Wyszomirska

Miasto wydalo mi sie bardzo od-
młodzone, ruchliwe, żywe. Wszędzie
napisy: wojewódzki, wojewódzka itd,
itp. Tablice ogłoszeniowe wypełnione
informacjami. Zawsze krzyczą plaka-
ty, że zaczął się „Wrzesień Jelenio-
górski”. Pełno tu reklamy, zachęty, za-
proszeń. Rzecz zrobiona z rozmachem.
Przed klubem „Kwadrat” wystawa prac
plastycznych amatorów, panie w ludo-
wych strojach proponują swoje wyro-
by, szachiści są pochłonięci grą, mło-
dzieży zespół muzyczny produkuje
„muzykę ekstazy”, głośno i weselo.
W atłuszach czytam, że kelnerzy stają
do biegów, że rozegra się walka „wrot-
karzy”; wyścigi, pokazy, kiermasze, se-
sje, przeglądy. Stoiska z książkami są
oblegane. Redaktor Jerzy Hankiewicz
ustawia modelkę do zdjęcia, redaktó-
rzy telewizji wrocławskiej kręcą scen-
ki obyczajowo-społeczne, w Rynku
przebiega prac rzeźbiarzy. Tutaj turniej
disco-hobby, tam zapowiedź festynu
„Gazety Robotniczej”. Któregoś dnia
spotykam w restauracji redaktora Janu-
sza Przybyłowicza, który surowym, acz
grzecznym tonem domaga się miejsca
przy stoliku dla ekipy swojej gazety.
Stanowi on przednią straż zespołu re-
dakcyjnego. Zapowiedź, że zjedzie sam
Ryszard Szurkowski, robi swoje. Gdy
wtajemniczam w to kilku Jeleniogórze-
m, widzę, jak patrzą na redaktora Przy-
byłowicza z dużym uznaniem. Witry-
ny sklepów zgłaszają swój udział w
jakimś konkursie. Jelenia Góra wy-
raźnie przeżywa swoją młodość.

14 września zaczyna się w Teatrze
Im. C. K. Norwida przegląd scen stu-
dyjnych z wielu miast Polski. Okolicz-
ność niezwykła. Teatr Jeleniogórski
obchodzi jubileusz trzydziestolecia pra-
cy. Specjalne wydawnictwo dokładnie,
rok po roku, informuje, co się zdarzyło
w tym czasie. Ale czym jest taka
informacja wobec tego, co usłyszałem
z ust Aliny Obidniak, dyrektorki teatru!

Tego wieczora Alina Obidniak wy-
stąpiła przed publicznością, w długiej,
gustownie uszytej sukni, jakby bardziej
wyniosła niż zwykle, ale i jakby wy-
ciszona. I opowiedziała o dziejach sce-
ny, zespołu, o aktorach, reżyserach,
grupach technicznych. Wypowiedzi tej
słuchało się jak pysznego recitalu.
Przypomniała, że na scenie Jelenio-
górskiej gościli Hanuszkiewicz i Dej-
mek, że przewinęły się setki artystów,
że zapisali się w pamięci Andrzej Stop-
ka, Stanisław Zaczek, Barbara Hesse-
-Bukowska, że nadal triumfy odnosi
znakomita aktorka Zuzanna Łozińska,
że przewinęły się tu największe sławy
polskiego teatru, że itd, itp. Teatr miał
lata wznosów i lata upadków, był nawet
bliski rozwiązania. I oto znów stał
się głośny. Z okazji jubileuszu artyści
i dyrekcja zebrała wiele gratulacji, a
także nagród, odznaczeń i wyróżnień.

I po tak uroczystym otwarcu Spotkań
rozpoczął się pierwszy spektakl, w któ-
rym zagrali dwaj gwiazdorzyc z War-
szawy, Adam Hanuszkiewicz i Daniel
Olbrychski. Wieść o ich przybyciu daw-
no zelektryzowała nie tylko Jelenio-
górze. Na przedstawienie przyjechali
miłośnicy teatru z Legnicy i Wałbrzy-
cha, z Wrocławia i Warszawy, a także
z innych miast. I słusznie, że przyje-
chali. „Beniowski” Juliusza Słowackie-
go w reżyserii Adama Hanuszkiewicza
zrobił dobre wrażenie. Nie stał się
wprawdzie rewelacją, ale błysnął kil-
koma scenami dużej klasy. Ironiczny
nawias, dystans, pierwotki pastiszowe
odsoniły nową twarz poematu. A prze-
cież trudno było sobie nawet wyo-
brazić, że z tego dość powikłanego
utworu, pełnego „ciemnej” tkanki myś-
lowej, kompozycyjnie zagmatwanego,
rojącego się od dygresji, można zro-
bić spektakl klarowny i czysty estety-
cznie. Hanuszkiewicz dokonał małego
cudu.

Okazało się, że szkoła nie zabiła
całkowicie wrażliwości, wprawdzie znie-
chęciła wielu do czytania Słowackiego,
ale nie zmniejszyła chłonności umysłu
przy oglądaniu „Beniowskiego” w re-
żyserii Hanuszkiewicza. Hanuszkiewicz
świetnie operuje drwiną, żartem, śmie-

Z CZYM DO GOŚCI?

Stanisław Srokowski



Maria Stebnicka
Fot. Wojciech Plewiński

chem, jakby miał szczególnie czułe
ucho na to wszystko, co wymaga dy-
stansu, sceptycyzmu, twórczej nieuf-
ności. Jego „Beniowski” zjednoczył
ogień z wodą, śmiech z zadumą, patos
z parodią. Scenom „lekkim” towarzy-
szyły sceny „ciężkie”. Zmienne tem-
po, niepokojące pulsowanie myśli, szyb-
ki ruch idei mierzyły się z głębią
dramatyczną, z tragiczną zadumą,
śmiechem nieraz był bliski płaczu. Jedną
z najzabawniejszych scen była scena
walki z Tatarami, przewrotna i piękna,
pełna dynamizmu i zwinności. Od-
czytany na nowo „Beniowski”, w szta-
tach teatralnych, stał się udaną za-
bawą, ale także stał się mądrą lekcją
myślenia artystycznego. Miał się wra-
żenie, jakby Słowacki uśmiechał się
z innej epoki i kiwał ze zrozumie-
niem i z uznaniem głową, że potomni
wykryli jego sekretne myśli i nie dali
się wywieść w pole.

Ale choć z uznaniem mówię o ro-
bocie reżyserskiej, o interpretacyjnych
nowinach, nie mogę być zachwycony
aktorstwem ani Hanuszkiewicza, ani
Olbrychskiego. Zagrali jakby na zwol-
nionych obrotach, jakby czuli jakieś
znużenie, nie dali mi okazji do fa-
scyacji, choć od czasu do czasu i
ja się lubię fascynować wirtuozerią
aktorów. Muszę dodać, że wcale uda-
nie wystąpił tutaj niemal cały zespół
teatru Jeleniogórskiego, a Hanuskie-
wicz jako Narrator zastępuje w „co-
dziennych” przedstawieniach Kazimierz
Miranowicz, Daniela Olbrychskiego zaś
— jako Beniowskiego — Jerzy Góral-
czyk. W sumie można powiedzieć, że
otwarcie Spotkań było udane, a „Be-
niowski” zyska w historii teatru wysokie
miejsce. Z innymi spektaklami było róż-
nie.

Konfrontacje scen studyjnych nie
miały tego wysokiego tonu, jakiego
oczekiwałem od niespokojnych umy-
słów twórczych. Niewiele, prawdę mó-
wiąc, widziałem zjawisk oryginalnych,
niewiele widziałem widowisk o dużej

urodzie teatralnej. O sztuce Sartre'a
pisałem raczej ciepło. Nie będę tego
powtarzał. Sporo nieprzykro tej reali-
zacji dodawały sceny nagości, ale nie
przywiązywałem do nich wielkiej wa-
gi, a nawet wydaje mi się, że były
nieco naciągane, nieco na siłę wkom-
ponowane w zgrabną konstrukcję in-
scenizacyjną. I nie one stanowiły o
sile przedstawienia.

Teatr Ochoty z Warszawy przywiózł
sztukę E. Roblesa pt. „Montserrat”,
mówiącą o historii walk wolnościowych
w Wenezueli. Problemy moralne prze-
platują się w dramacie z problemami
społecznymi i politycznymi. No, cóż.
Zespół aktorski nie zawiódł, ale też
nie zaskoczył jakąś nową formą, ja-
kąś świeżą myślą inscenizacyjną. Ha-
lina Machulska nie znalazła dla przed-
stawienia takich środków, które by
urzekły. Zaproponowała spektakl dość
konwencjonalny, choć ciekawy w pla-
nie etycznym, artystycznie nie odbie-
gający od tzw. normalnej produkcji.
Nowością Teatru Ochota jest to, że
spektakle traktuje jako pretekst do roz-
mów o sztuce, o estetyce. Egzystuje
w Warszawie trochę na peryferiach
oficjalnego życia artystycznego, zespół
pracuje społecznie, bez własnej sce-
ny, ale za to z dużą energią i pa-
świeceniem. Dyskusja o przedstawie-
niu w Jeleniej Górze nie obfitowała
w sytuacje spontaniczne, była raczej
grzeczna i sondażowa. Pytania zada-
wał Henryk Gała, rację teatrowi przy-
znawał Krzysztof Kucharski, a Tadeusz
Lutogiewski półgłosem oznajmiał, że
podoba mu się idea skromnych i cią-
gle tych samych kostiumów, które
przywdziewają aktorzy zmieniając tylko
pewne akcenty zależne od rodzaju
granej sztuki.

O burzliwym życiu i żalosnej śmierci
króla Anglii i tragicznym upadku dum-
nego Mortimera mówiła sztuka Chri-
stophera Marlowe'a „Edward II”. Dra-
mat reżyserował Ryszard Żurowski,
dyrektor teatru z Zielonej Góry. Było
sporo wydziwiania, dużo zabiegów in-
scenizacyjnych, które trafiały w próż-
nię. Żurowski przeinscenizował rzecz,
wprowadził za wiele sztuczności, za
wiele efektów może i niebanalnych,
ale i mało funkcjonalnych. Skutecznie
wybronił się w przedstawieniu Bug-
sław Kierca, dbający o szczegóły sztuki
aktorskiej, bardzo precyzyjny, ciągle
zaskakujący pomysłami, celebrujący
sceny, ale z umiarem, z dużą kulturą.
A dramat, jak to dramat o pederście,
nieco ekscytował, nie tak jednak, żeby
się podobał, mimo że dał kilka okazji
do podziwiania kunsztu aktorów. W
ostateczności jednak zawiódł.

Przez godzinę wprowadził w nastrój
wspomnień teatr z Płocka, wystawia-
jąc „Modernizm”, czyli coś, co idzie
z modą, czyli „retro”. A więc i teatr
poddaje się modzie. Bawić to się można
było na tym. Można było pomedito-
wać, posmucić się, pośmiać, na zmia-
nę, słuchając tekstów Stanisława

Brzozowskiego, Leopolda Staffa, Sta-
nisława Przybyszewskiego, Stanisława
Wyspiańskiego i innych modernistów.
Miejscami zabawa była udana, to ja-
kiś żart podobał się, to krotocwilna
historyjka, ale za bardzo nie było się
czym zachwycać. Tym bardziej że za-
wiodło aktorstwo. Sztukę reżyserował
Henryk Izidor Rogacki, co niech mu
będzie odpuszczone.

„Kram z piosenkami” w wydaniu
niemal całej młodszej generacji ak-
torów Jeleniogórskich i w reżyserii Aliny
Obidniak przyjąłem z mieszanymi u-
czuciami, raz mi się podobał, raz nie.
To tempo było dziwnie nieskładne, to
nogi zawodziły, to głos umykał. Ale
znowu: wdzięk pań, młodość i ży-
wiolowość, temperatura tańca i pasja
zjednywały sympatię. Może to trema,
może inne siły spowodowały, że nie
czuło się, nie widziało się wielkiej
werwy, uniesienia, zachwycenia, ale
sprawiedliwość trzeba oddać grupie,
patrzyłem i słuchałem z ciekawością,
widowisko było barwne i nawet wzru-
sające.

O śmiechu mówiła i śpiewała Marta
Stebnicka z Krakowa. Wszystko byłoby
w porządku, gdyby nie te manierycz-
ne ruchy aktorki, to balansowanie
między sztuczną śmiesznością a po-
wagą. Monodram dał dużo radości, był
chwilami świetny, nie pozbawiony in-
teligencji, dowcipu, zabawy, żartu i
melancholii, dzięki sprawiedliwie
śmiej i zadumę. Ale co z tego, czuło
się smok estrady, a nie teatru. Tyle.

Nie udało mi się obejrzeć teatru
wałbrzyskiego. Słyszałem opinie, że
„Parady” Potockiego miały niepowtar-
zalny klimat i smakowite kęsy. Działy
się w scenerii zgola romantycznej, ale
o szczegółach napiszę innym razem.
Nie mam też skrytykowanego zdania
o sztuce Zbigniewa Herberta pt. „La-
lek”. Gościnnie wystąpił również w
Jeleniej Górze Henryk Tomaszewski,
przywoząc „Odejście Fausta” i „Me-
nagerie cesarskiej Filisy”, wzbudza-
jąc zrozumiały entuzjazm.

Miał Spotkania i swój nurt dysku-
syjny. Redaktor Roman Szydłowski
przekonywał zebranych, że Beckett już
się nie liczy, a liczy się teatr kon-
kretu, co było dość trudne do zrozu-
mienia. Redaktor Szydłowski zachęcał
do pisania sztuk, których akcja dzieje
się w konkretnym miejscu i w kon-
kretnej scenerii, a nie gdzieś w próż-
ni społecznej, w co zdawał się wą-
tpić dr Janusz Degler, ale zdawał się
wątpić umiarkowanie. Witold Filler mó-
wił o teatrze i o widzu, a dr Stani-
sław Marczak-Oborski o wzorajszych
poprzednikach dzisiejszej awangardy.
Mówił frapująca, inni też mówili cie-
kawie. Na koniec powiem, że był także
piekny baran i było życie towarzy-
skie. Ale ton wszystkiemu nadawały
Spotkania. A więc z czym do gości?
Myślę, że Jelenia Góra nadal będzie
wychodziła do gości z dobrym tea-
trem, z wózkami inicjatywami, z mądrą
i piękną sztuką.